Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 20. Poznań, dnia 12. Sierpnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Poezya.

Z Fausta,
trajedyi Göthego.

(Noc. Pokój gotycki jasny z wysokiém sklepieniem. *Faust* niespokojny na krześle przy pulpicie.)

Faust.

Ach! ukończyłem z zapałem i pracą
Filozofią, prawo, medycynę
I teologią niestety! lecz na co?
Jeślim choć trochę mądrzejszy, niech zginę!
Magister, doktor jestem! mam dyploma,
Cała potęga wniosków mi znajoma,
Przez cały szereg klas dziesięcioraki
Wprzód, wtył, wskos, wpoprzek za nos wodzę żaki,
I wiem, że ludzie nic wiedzić nie mogą,
A to piekielną pali mię pożogą.
Wprawdzie mam więcéj niż te błazny w głowie:
Magistry, mędrce, mnichy, doktorowie;
Skrupuł, wątpliwość nieściska mi łona,
Ani się boję piekła, ani czarta;
Lecz za to wszelka rozkosz mi wydarta:
Nie marzę, że mi prawda rozjaśniona,
Że kogoś w mojéj utwierdzę nauce,
Że moich bliźnich poprawię, nawrócę.
Ani też włości, ani trzosy złota,
Ni dostojeństwa nie padły mi działem,
I pies takiego niechciałby żywota,
A więc się całkiem magii oddałem.
Czy też przemożne duchy mię zaszczycą,
Przyjdą, obdarzą wielką tajemnicą,
Że odtąd więcéj nie będę z mozołem
Rozprawiać o tém, czego niepojąłem,
Że się ciekawość moja zaspokoi,
Czém świat w najgłębszych podwalinach stoi?
Że ujrzę wszelką siłę, wszelkie ziarno,
I rzucę próżnych słów igraszkę marną.

Obyś mię blasku miesiąca
Widział dziś u trudów końca!
Niejednę północ tu skrycie
Czuwałem przy tym pulpicie,
Tyś tylko patrzał posępny,
Towarzyszu nieodstępny!

Ach, jak lubo w świetle takiém
Z gór w góry leciałbym ptakiem,
Z duchami zwiedzał pieczary,
Spadał na błonia w mrok szary,
I trosk wolen, rzeźwy, zdrowy,
Kąpał się w rosie perłowéj.

Biada! czym jeszcze ściśnięty
Murami? gmachu przeklęty!
Nawet boska światłość we dnie
W barwionych szybach twych blednie,
Nim w stosach ksiąg się zamroczy,
Które pył kryje, mól toczy.

Dokoła papier zczerniały,
Od podłogi do podwały
Puszki, tygle, teleskopy,
Różnych narzędzi półkopy,
Starych ojców stare graty,
Oto są mędrcu twe światy!

Jeszcze pytasz, zkąd u licha
Tęsknotą pierś ci usycha?
Zkąd ci boleść niepojęta
Wszelki żywotny ruch pęta?
Wkoło przyroda żyjąca,
Bawią, radują się bliźnie;
A ty się zwracasz od słońca
Ku pyłom, kościom, zgniliźnie.
Precz, precz z téj mólów dziedziny!
Ze stosów, które posiadam,
Sam tu, mój skarbie jedyny,
Księgo, coć spisał Nostradam!
Skoro zbadam gwiazd koleje,
W tajniach przyrody zmądrzeję,
Zaraz dójdę prawd łańcuchem,
Jak się rozmawia duch z duchem.
Zimna myśl nic tu nie zdoła,
Święte nie jaśnią się znaki,
Ozwij się duchu wszelaki,
Oto cię wierny głos woła!

(Otwiera księgę i postrzega znak makrokosmos.)

Ha! jakaż rozkosz znak miły
Leje w zachwycone zmysły!

Wszystkie moje nerwy, żyły,
Młodym, świętym żarem prysły.
Czy jaki bóg znak ten pisał,
Co moje troski skołysał,
Serce upoił słodyczą
I swą władzą tajemniczą
Twórcze odsłania im siły?
Jestżem bogiem? tak mi jasno!
Oto tych rysów osnowa
Rozświeca mi przyrodę, jak dłoń moję własną,
Teraz o mędrcu! pojmuję twe słowa:

»Nie zamknięty duchów świat,
»Lecz twe serce i zmysł twój;
»Daléj uczniu! kąpaj rad
»Ziemską pierś w światłości zdrój!«

Jaka całość doskonała!
Jedno w drugiém żyje, działa,
Siły niebios grążą, wznoszą
Wiadra pojące rozkoszą,
Lubéj błogoty zwiastuny
Przemkły ziemskiemi bieguny
Brzmi zgodą przyroda cała!

Co za widok! lecz tylko widok; nieskończona
Przyrodo, jakże twego uchwycę się łona?
Gdzieżeście piersi, z których wszelkie życie
Tryska, co niebo i ziemię poicie;
Do których każda wątła pierś się garnie,
Krzepicie wszystkich, jaż mam zginąć marnie?
(Mimowolnie przewraca księgę i postrzega znak ducha ziemi.)
Ten znak jakże czuciami poi mię innemi,
Zbliżyłeś się, duchu ziemi!
Czuję me siły zdwojone,
I jak nowém winem płonę.
W świat się rzucić poczułem nieprzepartą wolę,
Znosić i ziemskie szczęście i niedolę,
Z losem, z burzami toczyć bój zawzięty,
I nierozpaczać, gdy łódź pryśnie w szczęty.
Obłok powstaje nademną,
Księżyc zapada w mgłę ciemną,
Lampa gaśnie; dymi się; czerwone płomyki
Nad głową mi przeleciały;
Sklepieniem wpada strach dziki —
Drżę cały.
Czuję, jesteś tu duchu! przecież cię zbłagałem;
Stań ciałem!
Ha, jakież w sercu zawrzały mi boje?
Nowych wrażeń żądają wszystkie zmysły moje,
Ku tobie rwę się każdém serca biciem,
Muszę, muszę cię ujrzeć, choćbym spłacił życiem!
(Porywa księgę i wymawia tajemniczo znak ducha. Błyska czerwony płomień, duch się jawi.)

Duch.

Kto mię woła?

Faust (odwrócony).

Szkarada!

Duch.

Mocno się mnie ująłeś i z mojego koła
Długo, silnieś mię wabił, a ot —

Faust.

Biada!
Nie zniosę cię!

Duch.

Wszak z całéj zapragnąłeś siły
Mój głos usłyszeć, obaczyć twarz moje,
Twoje prośby mię wzruszyły:
Staję — ach jakaż trwoga! jakie niepokoje!
Gdzieżeś nadczłeku? gdzie twa dusza wielka,
Gdzie pierś, rozległych światów tworzycielka?
Dźwigła ich, i płochemi radości wybuchy
Ogłaszała się wielką, wielką jak my, duchy!
Gdzieżeś Fauście, którego przed chwilą, z udziałem
Potężnych zaklęć słuchałem,
Ciebież oto dech mój twórczy
W podłego robaka kurczy?

Faust.

Maro, płomieni i dymów wyrobie!
Ja to, ja Faust — równy tobie.

Duch.

W życia powódź, w czynów gwałt
Mknę sam i tam;
Wiodę, znaglam wszelki kształt
Do koleb, jam.
Wzdęte bałwany,
Wieczne przemiany,
Żywot pijany,
Oto skrzypiący warstat, na nim cywą
Czasu, dla bóstwa dzierzgam szatę żywą.

Faust.

Ty, co szeroki świat zbiegasz dokoła,
Duchu-działaczu równego masz we mnie.

Duch.

Równyś temu, którego myśl twa pojąć zdoła,
Nie mnie! (znika.)

Faust (przerażony.)

Nie tobie? komuż? jam widział bóstwa postać,
I nawet tobie, tobie mi nie sprostać?
(Słychać pukanie.)
Przeklęty! znam cię — tyś służalec podły!
Ach, najpiękniejsze nadzieje mię zwiodły!
Oto, gdy szczęście moje szczytu sięga,
Niszczy je nagle ten brzydki włóczęga. . .

(*Wagner* w szlafroku i sypialnéj czapce z lampą w ręku. *Faust* odwraca się niechętnie.)

Wagner.

Daruj, tak piękne słyszę wygłaszanie,
Pewnie trajedyą grecką czytasz panie!
Chciałbym korzystać nieco, bo to praca
Piękna i bardzo, bardzo dziś popłaca.
Nieraz już oto słyszę i dumieję:
Komediant mógłby uczyć kaznodzieję.

Faust.

Ajużci, czyż to raz widzieć przychodzi,
Że komediantem istnym jest kaznodziej?

Wagner.

Ach, kogo więzi ustawne zamknięcie,
Kto ledwie świat ten ogląda przy święcie,
Tylko przez szkiełko i tylko z daleka
Możeż ten sercem kierować człowieka?

Faust.

Czego nie czujesz, nie wlejesz w nikogo,
Skoro nie płynie ci z duszy,
I wrodzoną siłą, błogo
Serca słuchaczów nie wzruszy.
Siedź wreszcie i dla zabawki
Zbieraj na bigos okrawki,
I dmuchaj, aż śród mozołów
Błyśnie ci płomyk z popiołów,
Najwięcéj, gdy te przysmaki
Podziwią małpy i żaki;
Ale w splot serca ująć, próżne dzieło
Tém, co z serca nie trysnęło.

Wagner.

Jednakże szczęściem mowcy piękny wykład;
Czuję to; ma go rzadki; ja na przykład
Jeszczem daleko —

Faust.

Troszcz się o zysk prawy,
Pustą grzechotką nie rób głupiéj wrzawy!
Rozum i cnota stoją same sobą,
Prostota jest ich największą ozdobą.
Skoro cię przedmiot zajmuje surowo,
Trzebaż ci jeszcze polować na słowo?
O, te błyskotne mowy wasze, bracie,
W których ludzkości pęk wiorów rzucacie,
Są tak ożywne, jak wiatr, co ze świstem
Suchym w jesieni przetrąca się listem.

Wagner.

Ach, sztuka wzrasta powoli,
A tak prędko życie znika!
W trudach, które mi nasuwa krytyka,
Nieraz mię głowa i serce zaboli.
Ileż nadwątli się zdrowie,
Nim człowiek przejrzy źródeł skarb uroczy,
A nim jest w drogi połowie,
Już biedaka śmierć zaskoczy . . .

Faust.

Pargamin jest ci świętą studnią, któréj zdrojem
Gaszą się wszelkie pragnienia?
O, niedoznasz pokrzepienia,
Jeźli zdrój w sercu nie tryśnie ci twojém.

Wagner.

Przebacz, wielka to rozkosz, kiedy śród zapasów,
Przedrzem się do ducha czasów,
I widzim, jak tam mędrce błądzili przed nami,
A jak wysoko nad nich wzlecieliśmy sami.

Faust.

O tak, o gwiazdy trącacie;
Ach, przeszłość jest to mój bracie
Księga, pod siedmią pieczęci;
To, co o duchu czasów ci się święci,
Jest duchem piszących panów,
W którym ich własny wiek zoczysz.
Tylko się trochę zastanów,
A na ten widok odskoczysz:
Oto śmiecisko; lamus gdzie się chowa
Rupieć; najwięcéj akcja rządowa,
Naszpikowana długo i szeroce
Zdaniami, które papuga szczebioce.

Wagner.

Przecież badaniom gdy niekładziem tamy,
Świat, serce, ducha choć troche poznamy.

Faust.

Lecz jak to wasze poznanie jest śliskiem!
Ktoż nazwał dziecię właściwém nazwiskiem?
Owi niewielu, co dość płochym czynem,
Poznane prawdy nie kryli przed gminem,
Czucia, widoki w wolnym lali głosie,
Zginęli dawno na krzyżu i stosie . . .
Ależ noc późna do kresu się chyli,
Pozwolisz, żeśmy na dzisiaj skończyli.

Wagner.

Ach, czuwałbym dni i nocy
W mądrych rozmowach przy tobie;
Lecz jutro, przy wielkanocy
Jeszcze nie jedno pytanie ci zrobię,
Zawszem gorliwie prawdy lubił śledzić,
Wiem ja już wiele, wszystko chciałbym wiedzić.

*A ****

Literatura krajowa.

Czego przede wszystkiem literaturze naszéj potrzeba?

(Dokończenie.)

Zjednoczmy się w celu dokonania wielkiego dzieła, a wzrośniem sami w własnych oczach i u obcych. — Drobne urazy stronnictw i usterki miłości własnéj, umorzy wielkość przedmiotu. — Słaby znajdzie oparcie, próżny pole do popisu, upadły na duszy nabierze odwagi, nieśmiały otuchy, zrażony pojedna się, czynny żyć pocznie, początkowy wykształci się, a nikt się nie zmarni. — Wszystkie szkoły znajdą kartę dla siebie. Tutaj dopiero wytrze się prawda w widoku całéj wiedzy historycznéj, bo gra pojedyńczych zdań, barw, myśli i widoków, stanie się tutaj harmonijną prawdą. Księga taka wyjdzie z łona narodu i naród uzna ją za swoją, razem z jéj wyjściem, skończą się ujemne dzieje robiących umysłów, i myśl organizująca przejdzie literaturę, jasno i w pokoju. — Księgę taką uzna naród za swoją, i owszem stanie się ona kochaniem jego, bo

po raz pierwszy ujrzy się w zwierciedle prawdy cały i wszystek. — Cała historya, cała literatura znajdzie tutaj świątynię dla siebie, któréj ani czas, ani człowiek zły, zniszczyć już nie zdoła. Byłby to wielki Panteon narodowy, bez łez i marmurów wzniesiony, lecz gdzieby już los nie pomiatał świętemi popioły! Niechaj nikt nie daje ucha podszeptom miłości własnéj, niechaj nikt nie sądzi, że go może szkoda do prac encyklopedycznych; — konia, co w pługu ciągnąć nie chce, przedaje kmieć żydom! Niechaj nikt nie sądzi, że większego dzieła z osobna dokona, jeżeli dobrą książkę napisze, lub tę albo ową naukę porządnie wyłoży. Pojedyńcze dzieło nic już dziś nie znaczy! nie znajdzie odgłosu i zaginie śród powszechnéj negacyi, jak ziarno, które dla tego nie wschodzi, bo nie wczas zasiane. Nie dobre pojedyńcze dzieło jest już dziś zadaniem czasu naszego; tutaj chodzi i przywrócenie zaufania literaturze ojczystéj w opinii publicznéj u swoich i u obcych. — Dziś chodzi o to, żeby literaturze znowu drogę utorować, którąby w życie weszła i przyjęła się znowu na ziemi i w sercach. — Grzechem naszym było i jest to, żeśmy w literaturze grze indywidualnéj nazbyt popuścili wodze. Każda szkoła, każdy pisarz pisał inaczéj, a wszyscy razem nie trafiali do przekonania narodu. Ogół nie lubi takiego bałamuctwa i ukarał nas po swojemu; nikt nie ma powszechnéj wiary, nikt poczciwości w narodzie. Potrzeba tedy zmazać tę winę, rzetelną przysługą, poświęceniem się na usługi narodu i zaparciem się miłości własnéj. Taka poprawa ozwałaby się i w życiu, i nadałaby nowy popęd literaturze naszéj; a w miarę, jakby naród postępował, rosłaby także z każdym nowym nakładem w doskonałość „księga ksiąg naszych.“ — Nie chodzi dziś światu o ramotę przeszłych wieków, i o całe jéj brzemie, ale chodzi mu „o summę wiedzy,“ bo się oblicza z sobą i z drugiemi, a któż go wesprze w téj trudnéj rachubie, i w téj ciężkiéj pracy wieku? Wszyscy zużyli się, ale to pewna rzecz po staremu nie pojdzie! Potrzeba tedy w miejscu głośnych imion, i rzecz głośną postawić. Tylko odgłos takiego dzieła przedrze się przez kraj cały, i zajmie każdego, bo każdy znajdzie w nim cząstkę swoją; tylko odgłos takiego dzieła przejdzie Europę i da znak żywota naszego. Tylko zjednoczenie pracy będzie stanowiło siłę i poświadczy o rozumie publicznym. Wszyscy razem w korzec pod jeden strychulec! bo prawda jest jedna tylko, rozum idzie zgodą, a gromadnie idzie dobrze pojęty interes ogółu. Na ówczas to dopiero uwierzy temu naród, że mamy naukę i prawdę, która się i dla niego na coś przecie przydała; na ówczas dopiero obdarzy nas zaufaniem, któreśmy zasłużenie stracili. Dawno wymarli mecenasi literatury polskiéj, czas by naród sam sobie był mecenasem; niech tylko uczeni dadzą dobry przykład zgody i pracy, a podołają potrzebom czasu i narodu. — Miejscem wspólnego porozumienia i obrad naukowych, mogą być pisma publiczne, bo to, co ma rzeczywistą korzyść przynieść ogółowi, powinno jawnie i otwarcie, na świetle, na słońcu i na rosie Bożéj, jak kwiat, jak owoc kwitnąć i dojrzewać za staraniem człowieka a pomocą Bożą. — Myśl podobnego powszechnego słownika w zastósowaniu do rzeczy ojczystych, jak u innych narodów istotnie w życie przeszła, tak też u nas nie jest nowiną; i to jest właśnie, co za nią przemawia i co jéj prawdę poświadcza. Bo z prawdziwą myślą, za nim w życie przejdzie, zwykły się nosić całe wieki, tak w dziejach świata, jak w dziejach literatury. Żywoty świętych, królów i sławnych mężów w ojczyznie, które w starożytnéj jeszcze Polsce upowszechnione były, czyż nie poświadczają temu, że naród już wcześnie ku sobie garnął mozolną pracę wieków.

Za czasów Stanisława Augusta, kiedy się znowu po śnie długim ocknął, zamierzał już J. Załuski wydać zupełny słownik uczonych polskich. J. Krasicki dał w istocie przykład krótkiéj encyklopedyi powszechnéj w swoim „zbiorze potrzebnych i pożytecznych wiadomości.“ — Dzieła Ossolińskiego, Czackiego, Lelewela są *de facto* encyklopedyami rzeczy polskich. Słowniki historyczne, geograficzne, żywoty świętych, sławnych Polek, Polaków i uczonych polskich, przez różnych pisarzy z osobna i cząstkowo wydane, są w istocie gotowemi materyałami do takiego słownika. Na czem zaś podobnym materyałom zbywa, w tem powinien nasz wiek krytyczny dopisać, bo czas na czasie stoi. — Każdy z pracujących w pewnym zawodzie i piszących, ma już jakie takie ku temu przyrządy. Tak n. p. numizmatyka polska stoi na kilku tylko księgach, heraldya na kilku tylko herbarzach, a radziłbym przestać na tem, co jest, i brać to naprzód, co już nauka lub historya wyjaśniła. Każdy tedy w zawodzie swoim potrafi napisać kilka, kilkadziesiąt, a może i kilkaset artykułów bez wielkiéj trudności; a gdyby te artykuły były najkrótsze, gdyby im nawet bardzo wiele do doskonałości brakowało, położyłby przynajmniéj ślad pierwszy i podałby sposobność do poprawy tym, co za nami idą. Ale u nas zanosi się pono na to, że milczkiem zejdziem ze świata, a jeżeli głos potrzeby ludu, będzie głosem wołającym na puszczy, namyślimy się znowu może po upływie pół wieku do tego, co już przed pół wiekiem zrobić było potrzeba, a świat nie stoi, a radzi tymczasem o sobie. — Czas by się wziąść do sęku, zaniechać

tego marnotrastwa sił, i w połączeniu prac, dokonać dzieła, któreby przynajmniéj kiedyś za wiekiem naszym przemówiło. Bo duma obłędem jest w człowieku pojedyńczym, ale wiek bez przyzwoitéj dumy podłym bywa. — — Przybierając się tedy do podobnego dzieła, jak jest Słownik powszechny Polski, potrzeba:

I. Woli, t. j. żebyśmy uczuli istotną potrzebę takiego dzieła, i zgodzili się na to, iż wspólnie pracować chcemy, a o przedsięwzięciu takowem nawzajem zawiadomiali się.

II. Potrzeba zakreślić sferę takiego dzieła i obmyślić redakcyą.

III. Potrzeba obmyślić środki do nakładu i upowszechnienia takowego dzieła.

Ad I. co do porozumienia się wspólnego mogą służyć pisma czasowe, a może nawet i to pismo, w którem niniejszy umieszczamy wniosek (jeżeli to się zdawać będzie redakcyi), sądzę wszakże, iż wspólne porozumienie się pisarzy, w celach naukowych należy do powołania każdego publicznego pisma. Niech tedy każdy zgłosi się i niech zarazem oznaczy, w jakiéj części mógłby się przyłożyć do wspólnego dzieła. — *Ad* II. co do oznaczenia sfery i zakresu nauk podobnego słownika, niech każdy wypowie swe zdanie, a prawda się wytrze. Sądzę wszakże, iż na początek wypadałoby się ograniczyć, wyłącznie na widok rzeczy ojczystych. Redakcya zaś podobnego dzieła, mogłaby być może w Poznaniu, może w Krakowie. Przedewszystkiem zaś wypadałoby, zająć się redakcyi ogłoszeniem spisu rzeczy, porządkiem abecadła, które słownik zawierać będzie, żeby każdy z spółpracowników mógł oznaczyć artykuły, które wypracuje lub których brak jeszcze. — *Ad* III. co do nakładu, tym może się zająć tylko człowiek, któremu to chleb daje, t. j. księgarz powszechnie znany i i wiary godny. Radziłbym wszakże nie iść drogą prenumeraty, która się zużyła, ale przedsięwzięcie całe urządzić na akcye; do akcyonaryuszów potrzebaby także policzyć i współpracowników w miarę ich roboty, a w ten sposób wciągnęłoby się i piszących i czytających do upowszechnienia dzieła wpływem swoim. — Urządzenie i przyprowadzenie do skutku, podobnego przedsięwzięcia, nie jest łatwe „ale bez pracy nie będą kołacze“ w całym dziele byłyby trzy tylko przytrudne artykuły; artykuł „historya, prawo, literatura,“ artykuły te byłyby albowiem niejako podstawą całego dzieła, i musiałyby być wyrozumowane i powszechne, t. j. prawdziwe, jasne i krótkie. Tam okresy, tam podziały, tam potrzebaby przedewszystkiem wytyczyć linią kierunkową dla wszystkich współpracowników, a dla wiadomości powszechnéj umieścić je naprzód w pismach czasowych. Jednak, lubo jest wielki niedostatek w kraju naszym prawdziwie uczonych mężów, stać nas jeszcze i na historyka i na prawnika i na literata, a reszta złoży się powoli.*) *W. P.*

Dawne czasy.
(Gawęda z początku XVII. wieku.)

(Wnętrze szlacheckiéj zagrody — wielka izba — na kominie spory ogień — pod oknem duża skrzynia na kołkach — po ścianach obrazy świętych — przy drzwiach w cynowéj ampułce święcona woda z kropidłem — łoże zasłane kilimkiem — nad nim stara kolczuga — i w wężowéj pochwie zardzewiała karabela.)

Pan Marcin (wchodząc). Pomagaj Bóg, miły kmotrze!

Pan Bartosz. Bogdaj zdrów sąsiedzie! — Cóż słychać na świecie?

Pan Marcin. Zwykle u mnie jako w młynie — zawsze huczy moja baba.

---

*) Już przed kilku laty jeden ze spółpracowników pisma naszego wzywał wielu mężów do ułożenia podobnego Słownika. Z tych, którzy dali przyrzeczenie, iż się przyłożyć zechcą, trzej przed zaczęciem znaleźli przeszkody, dwaj oddali pewną liczbę artykułów, nieobiecując więcéj, a dziś trwa w zamiarze dalszéj pracy jeszcze pięciu. Rozkładając przedmioty, wykryto, że gdyby biografie do Słownika iść miały, natenczas inne rzeczy ledwieby dziesiątą część zajęły, a plan należałoby założyć na czterdzieści tomów. O pisaniu takiego dzieła w kilka tylko osób, nie dało się ani myśleć. Potém jak je przez druk przeprowadzić, jak dla każdego łatwém do nabycia zrobić? Z ostatniego względu byłby główny cel chybiony. Zamiar wydania ocalał wprawdzie, lecz biografie pozostawiono innym, którzyby Słownik biograficzny wydać chcieli. Rękopism w swym dzisiejszym stanie obejmuje same rzeczowe przedmioty. To, co ze starożytności objaśniają Starowolski, Rzączyński, Niesiecki, Naruszewicz, Czacki, Surowiecki, Święcki, Lelewel, Gołębiowski, Wojcicki, prawa Rzeczypospolitéj i wszyscy pisarze prawni, już jest do Słownika wyczerpnięte. Co do jego ducha i kształtu, mogą dać wyobrażenie wyjątki w Przyjacielu Ludu z r. 1837. w NN. od 32. do 44. zamieszczone, a jedne *J. M.*, drugie *E. K.*, trzecie zaś *W. A. W.* podpisane. Artykułów dziś gotowych w ogóle będzie około dwa tysiące pięćset. Prawda, że wiele z nich zajmuje tylko kilka wierszy, ale też są o pięciu, dziesięciu i dwudziestu arkuszach. Oddział jeograficzny najwięcéj wymaga czasu i pracowitości, ile że piszący go, zamierzył zbierać miasteczka, rzeki, rzeczki, niepomijając wspomnionych w historyi zamków, wsi lub innych miejsc. Dawniéj był zamiar wydawania tomu po tomie, lecz okazało się, że niepodobna literę za literą redagować, ale każdy z piszących musi mieć pewną gałęź, a w téj przez wszystkie litery według związku myśli razem pisać artykuły. Dla tego całe dzieło musi być wykończone, nim się druk rozpocznie. Czy rok wystarczy? nie wiemy. Brak wielki pokazuje się co do sztuk pięknych, z których tylko muzyka znalazła badacza rzeczy narodowych. W ogóle co do wszystkich przedmiotów, najpożądańsze byłyby Alchimia, Astrologia, Astronomia, Budownictwo, Filozofia, Malarstwo, Snycerstwo, pomniki narodowe, Ormianie, Teatra. Artykuły te należą do głównych, a zatém obszerniejszego potrzebują obrobienia; lecz ktoby chciał się przyczynić i w innym rodzaju, niech się raczy zgłosić pod adresem Tygodnika literackiego, niech się rozwiedzie, w czém i jak gotów pracować, a po bratersku przyjęty będzie i z rękopismem już wygotowanym bliżéj obe-

Pan Bartosz. Siadajże Waszeć. Oj tak! dym w izbie, dach dziurawy i zła żona w rychle wypędzą z doma. Trzeba Waszeci zawsze zmykać, jak ów djabeł — a o nim powiem Waszeci. — Rozkochał się djabeł w gładkiéj dziewce i ożenił — ale jak gładka była, tak i zła była, — nie mogąc wytrzymać, uciekł od niéj. Dawniéj był zrobił umowę z jednym człowiekiem, co mu zaprzedał duszę swoję, pod tem warunkiem, iż będzie miał prawo trzy razy wypędzić go z opętanych. Człowiek ten trzy razy wypędziwszy djabła z opętanych, nie tylko zebrał wielkie mienie i dostatek, ale stał się głośnym między ludźmi. Zdarzyło się, że po raz czwarty wezwanym został do wielkiego pana, aby córkę opętaną uzdrowił. Przybył — ale uparty djabeł stósownie do cerografu ustąpić nie chciał. Wtedy on człowiek rozkazał kapeli nadwornéj przygrywać; zdziwiony tem djabeł wychylił głowy z pięknéj panny, i pyta, co to znaczy? — Pan tego zamku (rzekł ów człowiek) nadjeżdżającą twoją żonę wita i przyjmuje. Ledwie to djabeł usłyszał, zaraz uciekł i opętaną uwolnił.

Pan Marcin. Dobrze to djabłu, bo ma gdzie uciekać, — ależ ja, gdzie się obrócę, wszędy mię mój Heród ułapi. Teraz chora, a terkocze, jak umrze, boję się, aby mię jéj upiór nie straszył.

Pan Bartosz (kiwając głową). Próżna obawa, panie bracie, przecięż cię nie zabije; dziś ludzie już i w upiory i wczary nie wierzą, a przecięż sam znałem takich co krew upiorów pili, a takiego żadne się widmo nie jęło! — (Tu pan Bartosz, przysunąwszy się do siedzącego na ławie Marcina, zawołał:) Hanko! nastaw no miodu i wsyp korzenia, napijem się nieco z naszym miłym sąsiadem i bratem!

Pan Marcin (ściskając go za rękę.) Dziękuję Waszmości, za tę chętliwą pamięć o swym słudze! tu też oddycham swobodnie, gdy zapomnę w gawędce o domu i żonie.

Pan Bartosz. Nie frasujta tak sobie głowy zbytecznie, lubo i to prawda, że te niewiasty nie umieją daru bożego języka szanować: one tak robią, jak niedorostek jednego wieśniaka. — Siał gospodarz na roli, a wzdychał często, modląc się Bogu o plon obfity, chodzi a rzuci ziarno, aż zmordowany osiadł na dużym kamieniu, co za kopiec graniczny służył. Kiedy pot

znany być może. Słyszeliśmy często od piszących rzeczony Słownik, że są przekonani, iż ich dzieło będzie bardzo niezupełne, niedostateczne. Odrzucając grzeczności, które szczególniéj w literaturze za śmieszne uważamy, tém ich pocieszyć możemy, że podobne dzieła w pierwszych wydaniach nie były nigdy zupełne. Wszakże wolno Słownik mnożyć dodatkami, poprawiać wydaniami, co tém łatwiéj stać się może, że większość piszących do młodzieży się liczy.

Przypisek Redakcyi.

ociera z uznojonego czoła, staje przed nim jakiś podróżny z krzywą gębą w trojgraniastym kapeluszu — był to djabeł. „Cóż to człowieku robita?“ zapytał. — „Ot, sieję, mój panie, żeby było chleba kawałek.“ — „Ja wam dam lepsze ziarka,“ (tu dobył z borszucéj torby woreczek) „patrzta, są to ziarnka wiatru — każde go z osobna poruszy, a za całą garścią powstanie wielka burza.“ To wyrzekłszy, rzucił ziarnko jedno, a wiatr począł świstać — rzucił potem garść całą, a burza okropna strachem napełniła rolnika. Biły pioruny, łyskawice raziły oczy, lał deszcz ulewny, a wicher huczał. — Rolnik lubo na początku przestraszony, ochłonąwszy nieco, pomyślał sobie, że dobrze byłoby mieć takowe nasienie, że lubo burza niepotrzebna, ale w niéj jest i deszcz obfity, którego daremnie pragnął nie raz. Przyjął więc worek z nasieniem, i przemokły powrócił do domu. Nazajutrz dla próby rzucił ziarnko i w czas pogodny zerwał się wicher, zawiązał więc dobrze worek, czekając suszy, żeby sobie pole deszczem odżywić. Miał w chacie syna wyrostka: bydlę, wielki próżniak i gawron; mało robił, ale wszystkie w chałupie przewracał kąty. Znalazł niedługo worek, przez ojca zachowany, rozwiązał, a ujrzawszy ładne ziarnka, wziął jedno i rozgryzł. W téj chwili, jakaś go siła obaliła, wiatr wyrwał część dachu, powybijał okna, a jemu ciągle w gębie wiało z poświstem. Kiedy przyszedł k' sobie, rozgniewany porywa worek cały, wybiega na podwórze, i za chatą wysypuje wszystkie ziarna. Cóż się stało — burza całą wieś zniszczyła. — Owóż, mój kmotrze, tak się dzieje i z niepowściągliwym językiem; Bóg dał zęby, jak na te ziarnka worek, ażeby go trzymały na wędzidle — głupi, kto ten worek otwiera często . . . .

Pan Marcin. Moja baba nie zna co usta zamknąć. .

Pan Bartosz. I dla tego zawsze burza w chałupie, co niszczy spokój i szczęście domowe.

Pan Marcin smutnie na piersi opuścił głowę, gdy Hanna miód-zlewny postawiła przed nim i Bartoszem w dwóch garkach.

Pan Bartosz. No, kmotrze, zapomnijcie biedy, rzućcie o ziemię troski — rozchmurzcie zasępiałe czoło. (I podniósł garnek, uderzył nim o garnek Marcina, a życząc sobie zdrowia, weselsi popijać zaczęli.)

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Skarbiec historyi polskiéj *przez* Karola Sieńkiewicza, z godłem: *Za prawdo gospodzin da miłoścz, a zema nasza da owoc swoi.* Tom I. 1839.

(Dalszy ciąg.)

Następują Pamiętniki ks. Jędrzeja Kitowicza: »Imie Kitowicza« mówi wydawca »mało komu znane. Był to konfederat barski, żołnierz, potém zakonnik i autor. W tém dwoja-

kiém życiu mieszał się do mnogich spraw i z mnogimi ocierał się ludźmi, doskonale znał i opisał Polskę, zasłużył, aby go policzyć do lepszych pisarzów z wieku Stanisława Augusta. Przecież imie jego obcém jest pamięci i prawie obcém literaturze narodowéj. Pisma Kitowicza nie były dotąd drukowane. Z tych najlepszém, najobszerniejszém, najznakomitszém jest: Opisanie zwyczajów i obyczajów Polskich za Augusta III. Jestto galerya obrazów ówczesnego życia polskiego. Szkoły i studenci, duchowieństwo i klasztory, palestra i trybunały, wojsko, jego autoramenta i pułki, kozacy i hajdamaki, dwory i dworzanie, uczty, bankiety, potrawy, trunki i pijatyka, palace, domy, meble i stroje, zjazdy publiczne, zapusty, kuligi, sejmy: wszystko to nie stylem nakamiennym, nie w szkieletach statystycznych, lecz we krwi, w ciele, w życiu swojém stawi ci się przed oczy, rusza się, wszystko ma swój krój, swoję fizyognomią. Prawdziwe te malowidła szkoły flamandzkiéj ciągną ci oczy szczerotą rysunku, sumiennością szczegółów, bujnością przygód; oglądasz tam ciekawie to nawet, co lichém i drobiazgowém osądzisz. Wyjątki tego dzieła przed kilkunastu laty były drukowane w Pamiętniku Warszawskim, a obficiéj przez Łukasza Gołębiowskiego w pismach jego o Dworach, Ubiorach etc. Polskich. Wydanie całego dzieła rozpoczęte, przy pierwszym arkuszu druku przerwanem być musiało, sam nawet rękopism dziwną koleją, ledwie uszedł zniszczenia Drugim pozostałem pismem Kitowicza są: urywkowe notatki, sięgające kilku lat saskich i obejmujące czasy Stanisława Augusta. Nie masz w nich ciągu wydarzeń, nie zawsze nawet porządek lat zachowany. Trzecia nakoniec pozostałość piśmienna Kitowicza, są listy. Szczupły ten urywek korrespondencyi, która zapewne rozległą być musiała, gdy w czterech latach i do jednéj tylko osoby 180 listów liczymy, wyrwaną została od zatracenia przez szanownego A. G., z którego rąk przyjaźnych przeszła do naszych; wywdzięczym mu się najlepiéj, gdy je drukiem ogłosim.

Kitowicz największą część lat swoich przepędził w zakonie, acz szablę na pióro zamienił, z natury jednak swojéj powołanym był do działania, do ocierania się ze światem, do praktycznéj, że tak powiem encyklopedyi szlacheckiego życia. A naprzód widać, iż był doświadczonym gospodarzem. Biskup kujawski Antoni Ostrowski zamyśla wieś kupić; wzywa Kitowicza, aby wartość jéj oszacował i intratę wyciągnął. Przez długi czas zajmował się rachunkami w dobrach tego biskupa. Jako żołnierz był znawcą koni; ich cnoty, zalety defekta, facyendy, znał to na palcach. Myśliwiec wiedział, jak wybrać szczenie, hodować, do pola właściwego ułożyć.— Przyjaciel jego i dobroczyńca ks. referendarz Lipski potrzebuje wina; nie masz jak Kitowicz, który je wybierze, kupi, wyklaruje. Jakoż kupuje, nalewa na stary lagier. Zdziwiłem się, pisze z wielkiem ukontentowaniem, skosztowawszy, że wino tłuste, stare, które przeszłego roku było dobrze nadkwaśniało, teraz najmniejszego nie ma kwasu, owszem słodycz, tłustość i dryakiew dziwnie przyjemną, słowem *bibilissimum*. Lecz gorującą w nim passyą było zbierać i rozsiewać nowiny publiczne. Mieszkając w Warszawie, wietrzy nieustannie, co się dzieje i na co się zanosi: odradza Lipskiemu, aby w trudnych konjunkturach niekwapił się do stolicy, dyktuje mu, jak i do kogo ma pisać z exkuzą. Zakłopotany Zaremba po swojéj submissyi znajduje w nim doradzcę, gdy przyszło pisać do posła zagranicznego. Polityk starego kroju, Kitowicz w opiniach swoich nosi dobitną cechę czasu, w którym żył, i partyi, do któréj należał. W oczach jego wolność bez *liberum veto*, a maca żydowska bez krwi chrześciańskiéj obejść się nie mogą. Podejrzliwem okiem pogląda na wszelkie reformy, nie cierpi Czartoryskich. Wszakże niepokoją go burdy sejmikowe, zgiełki trybunalskie, hultajka Radziwiłła; konfederacya barska obok entuzyazmu prawdziwych patryotów, objawia mu oplakane mizerye intrygantów; zaczyna być skeptykiem politycznym; składa miecz, wstępuje do klasztoru; lecz niemniéj duszą i ciałem pozostaje Polakiem. Pewna wojewodzina wychwala rząd, swobody i spokojność w zabranym kraju, gdzie przebywała, jakby: u Boga za drzwiami. Gdyby to prawda była, czytamy wykrzyknik w listach Kitowicza, toby kluczem Piotr ś. za takie gadanie zęby jéj roztrzaskał«

Nie wiemy szczegółów jego życia, ani wojskowego, ani klasztornego. *(Dokończenie nastąpi.)*

Korrespondencya.

Do Redakcyi.

(Dokończenie.)

Obiecałem wprawdzie zaprowadzić was, drodzy czytelnicy, na wystawę obrazów; ale gdy sobie teraz wspomnę, że tak pyszne dzieła sztuki wymagają dokładnéj znajomości rzeczy, silnego czucia a nadewszystko żywéj fantazyi, aby godnie ocenić jéj czarodziejskie wdzięki; nie wiem, jak się wywinąć zdołam. Czułem mocne wrażenie na widok hussyckiego kazania Lessinga, płaczący na gruzach Jerozolimy Jeremiasz do łez mię poruszył; lecz gdy usiłowałem to życie pędzlem na płótnie stworzone przelać na papier, słowa mi malały i więdły. Nie znalazłem wyrazów do obudzenia w waszém sercu tego fanatycznego zapału hussyckiego kaznodziei, téj dzikiéj ale oraz wyższym duchem natchnionéj postaci, téj mocy nieugiętéj, jak owe dwa buki, pod których konarami stoi. Ten kielich, hasło ich wiary, z świętą żarliwością do góry wzniesiony, za który ostatnią kroplę krwi wytoczyć gotowi, te usta na pół roztwarte przelewające swój zapał w serca dzikiéj wprawdzie, ale z korném czołem każde jego słowo pożerającéj wojennéj drużyny, zdolne są zapalić serca do najzaciętszéj walki z potężnym wrogiem, wydzierającym im razem z wolnością sumienia, rodzinne swobody i wszystko, co człowiek stokroć wyżéj nad życie ceni. Cóż dopiero mówić o Jeremiaszu. Ten żal niewymowny w rysach poważnego starca, ten rozdzierający widok niedobitków na gruzach wielkiéj niegdyś Jerozolimy i kwitnącego narodu, te niektóre w ziemię jakby wbite twarze, co z zgrozy i hańby podnieść się do góry nie śmieją, te śmiertelną bladością okryte i na łonach matek konające dzieci, jestto tak straszliwy obraz zamordowanego izraelskiego narodu, że chcieć go zimno ze wszystkiemi szczegółami, słowami oddać, trzebaby mieć serce ze skały.

Porzucam więc obrazy, które czuć nie opisywać należy, i prowadzę was do gabineciku pobocznego, mieszczącego w sobie narodowych rysów pozaczynane szkice. Choć to są tylko dość niezgrabnie namazane kopie starodawnych, pełnością swobodnego życia tchnących obrazów, zawieszonych w świątyni sławy, ku wiecznéj narodowéj pamięci; przecie nie zawadzi lepiéj im się przypatrzyć.

Ten pierwszy obrazek wystawia: audyencyą u Mecenasa, po naszemu kommissarza sprawiedliwości. Zgięty z pokorną miną supplikant, trzymający plikę aktów pod pachą, chcący prawie całować w ręce stojącego przed nim sługę Themidy, jest to sławny pieniacz i hipotekołowca pan Sprawa. Musiał kogo doskonale oszwabić i przychodzi teraz sądownie uprawnić swoję sprawkę i dla tego taki giętki. Pieniactwo, to jego życie, processowałby się z całym światem: służącemu, robotnikowi nie zapłaci, aż wyrokiem sądowym do tego zmuszony. Najlepszego swego przyjaciela niedawno doskonale podszedł i oszukał, rodzonego brata z jego schedy wyrugował i przed S. Janem za wyrokiem sądu ze wsi z inwentarzem wyrzucił; własnemuby ojcu nie przepuścił, gdyby go już dawno nie był wpędził do grobu. Zna wszystkie sądy aż do woźnych, świadomy wszystkich kruczków i forteli prawniczych; umie nieszczęśliwemu wygodzić w potrzebie, bo zna na palcach jego hipotekę, bo już od dawna ostrzy zęby na jego wioskę. Najgorzéj mu tylko kogo za paluszek zachwycić, wnet go z duszą i z ciałem jako swego ułapi. W najobojętniejszéj towarzyskiéj rozmowie pilnie nadstawia ucha, czy nie mówią o jakiéj sądowéj massie, hi-

potece zastawie. Porozumiał się w téj mierze z niektóremi sądowemi osobami, z niemi więc razem na wspólną korzyść skupuje tak nazwane instrumenta urzędowe, odstępuje, przekazuje, zamienia, facyenduje.

Obraz Nr. 2. wystawia damę pierwszego tonu najdystyngwowańszą w całéj okolicy, siedzącą w fotelu, zajętą od niechcenia przerzucaniem mod francuzkich. Ale jakaźto zgroza czoło jéj zachmurza? Cóż to znaczy, ten służący w galonach z fajerką? Oto dama każe w swym arystokratycznym salonie wykadzać powietrze, tchnięciem pewnego miejskiego łyka, którego przyjąć u siebie musiała, skalane.

Obraz Nr. 3 wystawia młodziana w czamarze z udatną twarzą, nosem nieco do góry zadartym, znamionującym odwagę. Pewny jestem, że gdyby mu się zdarzyła pora, równieby się gracko w tańcu popisał, jak sprawił do pałasza i do konia. No, proszę, czyż to nie są piękne zalety. Oj, piękne, ani słowa; ale ja ci powiem, co stanowi istotę tego człowieka: próżność, samo udawanie czegoś wielkiego i ta piekielna pompa, która anioła w szatana zamieniła. Wiedzże, że pod tą zwodniczą politurą ukrywa się nierozsądna zarozumiałość, pogarda ludzi prawdziwie zasłużonych, ale pozbawionych tych powierzchownych zalet; nadto lekkomyślność, obrzydłe próżniactwo, zgubne marnotrawstwo ciężko przez rodziców zapracowanego grosza; a nadewszystko występna obojętność na cnoty wsławionych przodków, a jeszcze grubsza niewiadomość i brak tak gruntownéj ogólnéj oświaty, jako też w szczególności rzeczy ojczystych zamilowania. Abyś się lepiéj przekonał, skreślę ci w krótkości jego biografią: wyszedł jakoś z drugiéj czy trzeciéj klassy od dołu, bo już od samego dzieciństwa czuł w sobie wrodzoną, zapewne po godnym tatulu odziedziczoną antypatyą do książek i professorów. Ponieważ był majętny chłopiec, a rodzice mieli to przekonanie, że pobyt na uniwersytecie wiele się do ustalenia powagi w przyszłém obywatelskiém pożyciu przyczynić może, posłali go dla ukończenia edukacyi do Berlina. Przy umieszczeniu synala pokazali całą naszę politykę, zasadzającą się na tém, że nie przez zasługę i pracę, ale przez konexye i plecy najkrótsza i najpewniejsza droga do celu, oddając go, choć niemiłosiernie prawda zdarci, na pensyą do członka examinacyjnéj kommissyi, lub wpływ w niéj mającego, któregoby rzeczą było przeprowadzić szczęśliwie naszego panicza przez nieszczęsny examen dojrzałości, otwierający wstęp do uniwersytetu krajowcom. Cóż się daléj stało z tym tak sztucznie przez examen przewiedzionym już akademikiem? zaciągnął się nibyto pod chorągiew zwolenników Minerwy, choć w istocie innéj wcale hołdował bogini, dobrał sobie podobnych towarzyszy, dawał kompanie, puszczał się w karteczki, chodził na opery, balety i inne krotochwilne zabawy, z politowaniem spoglądał na biednych charłaków, których do kollegium z książkami spieszących widział, unikał ich kompanii, bo jak powiedziałem, widoku książki znieść jego oczy nie mogą; a tak zabiwszy trzy lata i kilka tysięcy talarów, zrujnowany na zdrowiu, wrócił w rodzicielskie progi. No proszę mi teraz powiedzieć, zkąd się u niego ma wziąść rozum? Gdyby był w późniejszym czasie sam przynajmniéj szczerze zajął się sobą, pracował, szukał społeczeństwa i rozmowy ludzi usposobionych i myślących; toby się strata choć w części powetować dała; ale tak, pożal się Boże! — Znałem ci ja młodzieńców, do nauk wielką w niższych klassach okazujących ochotę; a i ci, skoro tylko przypięli mankietki na ręce, ostygła w nich szlachetna emulacya, zmarniał piękny naukowy zaród; białe świeże mankietki pociągnęły za sobą modny fraczek, kapelusik lub czapeczkę na bakier; a kiedy kto pięknie się ubierze, już go przy piórze i książce i na łańcuchu nie utrzymasz; szatańska jakaś pokusa ciągnie go pokazać się pięknym oczom w swym stroju. Nie długo znajdzie drogę do bilardu, cukierni, postara się o wstęp do jakiéj wesołéj kompanii; ba nawet starać się o to nie potrzebuje, gdyż znajdą się zabaw chciwe damule, które go same na kompanią zaproszą, nie pomnąc na to, że nic zgubniejszego dla młodocianego serca jak roztargnienie. Już jemu teraz w klassie podczas wykładu nauki jakiéj, skoczny mazurek w uszach dźwięcznie tętni, a rozogniona młodzieńczą fantazyą, tak zdatną do najpiękniejszych krasomowskich lub poetycznych utworów, przedwcześnie opanuje namiętność, mająca w nim cały dawniejszy zapał do nauk pochłonąć i wyzębić.

Obrazek Nro. 4. Nie masz podobno czulszego, patetyczniejszego widoku, jak jest na tym obrazku: ta zachwycająca para podeszłéj damuli, pieszczącéj swą pulchniutką rączką bieluchnego, jak mleko szpicka. Najtkliwsza oblubienica obsypująca czułemi pieszczoty swego kochanka nie jest tak szczęśliwa! Ale bo też jest w czem się pokochać: te łapki drobniuchne, elastyczne, ta mordka czarna, ten puch łabędzich włosów, są to roje wdzięków, którym serce naszéj czułéj damy oprzeć się nie potrafi. Za to czekają go też najwyszukańsze wygódki: posłanie wygodniejsze niż w kolebce dla dziecka, albo miększe jeszcze saméj pani łono; chodzi tylko po dywanie, a kiedy chce wskoczyć na kanapę, troskliwa pani podsadza go, jak dawniéj wierny giermek wsadzał na koń swego rycerza. Strawy, choć najwykwintniéj przyrządzonéj, nie każdéj się dotknie, chyba, gdy mu ją sama pani pokrajawszy w kawałki na pięknéj poda farfurce, a i wtenczas nawet niekiedy ledwo powąchać jéj raczy. Ależ za to jak wdzięczne, choć nieco przenikliwe wydaje tony, gdy ktoś obcy do pokoju wchodzi! Gościu, czy też przychodniu, ostróżnie stąpaj, to moja rada, bo trąciwszy przypadkiem tego pieścioszka, ciężko zakrwawisz serce jego pani; samo nawet krzywe spojrzenie już cię pozbawi łaski i względów, jeżeli jeszcze jakie po psich w jéj sercu dla kogo innego pozostały. Najmilsza konwersacya pani jest właśnie o pieskach, ach, to niewyczerpane źródło najczulszéj rozmowy! i najprostszy kanał do zjednania sobie protekcyi: biedny supplikancie, jeżeli ci się uda, najprzód pozyskać dla siebie psie serce, możesz być pewnym łaskawego przyjęcia; inaczéj biada ci! nazwą cię nieobyczajnym, grubijaninem natrętem z nieludzkim sercem. Najgorzéj wychodzą służący. Ci lubo nienawidzą nikczemne zwierzę, do którego najpodlejszych usług są przeznaczeni, i czują w tem upodlenie człowieka, wszelako na pozór nadskakiwać mu muszą i starać się o łaskę pieska, gdyż inaczéj stracą służbę. Nie jestże taki sługa prawie przymuszony do obłudy?

Obraz 5., 6. i t. d. wystawiają portrety żyjących osób, zdaniem obcem dość dobrze trafionych; ale ponieważ nie każdy lubi, jak mi pewien malarz powiadał, trafne wystawienie swéj prawdziwéj fizyognomii, prócz tego, żebyście znowu nie powiedzieli, że się ta wystawa wlecze bez końca; wolę nagle uciąć i rzecz zaczętą do innego może odłożyć czasu. W końcu jednak przypomnę wam jeszcze kopią, powszechnem zdaniem znawców doskonałego obrazu, który sławny Jezuita Włodek na Watykanie wymalował, wystawiający mowę ojczystą pod postacią wzgardzonéj niewiasty, mowę zaś obcą jako damę dostojną, otoczoną blaskiem, tłómacząc się następującemi słowy:

»Wyrzuciliśmy, nieczuli synowie, z domu matkę własną, a przyjęli przychodnią jakąś niewiastę, któraśmy sobie za matkę przyswoili. Matka nasza siedzi nędzna na folwarku między czeladzią i chłopami, a obca dziewka rozgościła się w pokojach między nami, z nami u stołu siada, z nami wyjeżdża w karecie, z nami biesiaduje; wszyscy ją szanują, wszyscy jéj się kłaniają, a kto jéj nie zna, za prostaka, grubijanina i niegodnego szlacheckiego towarzystwa poczytany bywa! A gdy my téj cudzoziemce nadskakujemy, gdy ją między sobą za boginią mamy, jéj krewni i rodacy z boku się na to patrzący, z nas się natrząsają, palcem płochość naszę i nierozum że niepowiem głupstwo, wytykają. Nasza matka w kąt zarzucona w ostatniéj poniewierce zostaje, o żebraninie żyć i w sukniach gęsto i plugawo łatanych chodzić musi; ta zaś modna Jéjmość w klejnociki się naszéj matki stroi i szaty matczyne nie do swego wzrostu ani twarzy robione bierze, tak że ani tym sukniom na niéj, ani jéj w tych sukniach nie przystoi.«

Tyle jest słów nie moich, ale Włodkowych, zapisanych na karcie 328. w rozdziale czwartym. *K.*

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*